

LESZEK BUDREWICZ

GŁODÓWKA W PODKOWIE LEŚNEJ

Głodówki protestacyjne były jedną z form walki opozycji demokratycznej w PRL. Przed sierpniem 1980 r. i powstaniem „Solidarności”, po taką formę sprzeciwu sięgano kilkakrotnie. Największy rozgłos zyskały trzy głodówki, zorganizowane przez środowisko KOR.

Pierwsza z nich, trwająca od 24 do 31 maja 1977 r., odbyła się w kościele św. Marcina w Warszawie w sprawie uwolnienia więzionych uczestników wydarzeń czerwcowych 1976 r. oraz aresztowanych w maju 1977 r. członków i współpracowników KOR. Wzięło w niej udział trzynaście osób, a mężem zaufania głodujących został Tadeusz Mazowiecki. Kilkanaście miesięcy później, od 3 do 10 października 1979 r., z inicjatywy środowiska KOR i przy współpracy z Radą Sygnatariuszy ROPCiO, piętnaście osób protestowało w warszawskim kościele św. Krzyża w intencji więzionych opozycjonistów z Czechosłowacji i Polski. Mężami zaufania wybrano wówczas Jana Kielanowskiego i Jana Józefa Lipskiego¹.

W maju 1980 r., a więc na krótko przed lipcowo-sierpniową falą strajków, zorganizowano kolejną głodówkę, tym razem poza stolicą – w parafii św. Krzysztofa w Podkowie Leśnej, prowadzonej przez ks. Leona Kantorskiego. Przyczyną podjęcia protestu było odczuwalne od początku 1980 r. zaostrzenie represji wobec osób prowadzących działalność opozycyjną. Coraz częściej – oprócz niejako „standartowych” form represji, jak zatrzymania na 48 godzin, rewizje i zwolnienia z pracy – wszczynano procesy sądowe, kończące się na ogół kilkumiesięczną karą aresztu.

Wyrok, skazujący organizatorów warszawskiej manifestacji z okazji 61. rocznicy odzyskania niepodległości, uprawomocnił się 22 stycznia 1980 r. Andrzej Czuma, Bronisław Komorowski, Wojciech Ziemiński i Józef Michał Janowski otrzymali kary do trzech miesięcy pozbawienia wolności. W lutym 1980 r., pod fałszywym zarzutem hałasowania w nocy, na trzy miesiące więzienia skazano działacza KPN i WZZ w Katowicach – Romana Kściuczka. Za kolportaż ulotek, wiosną 1980 r., na miesiąc pozbawienia wolności został skazany działacz ROPCiO Adam Wojciechowski, a współpracownik KSS KOR Anatol Lawina – na dwa miesiące².

Największe poruszenie w szeregach opozycji wywołało jednak zatrzymanie 25 marca 1980 r. członka KSS KOR i szefa Niezależnej Oficyny Wydawniczej Mirosława Chojeckiego, oskarżonego wraz z Bogdanem Grzesiakiem (więzionym od 6 do 29 lutego oraz od 15 kwietnia do 12 czerwca 1980 r.) o kradzież powielacza. Obaj otrzymali wyroki półtora roku w zawieszeniu oraz grzywnę w wysokości 15 tys. zł. Ponadto, od 1 lutego 1980 r. w więzieniu przebywał współpracownik KSS KOR Jan Kozłowski, skazany na dwa lata pozbawienia wolności, a 13 marca Sąd Rejonowy w Grudziądzu skazał na trzy lata więzienia Edmunda Zadrożyńskiego³. Zdecydowane działania podjęto również wobec organizatorów manifestacji

¹ Zob. szerzej: J.J. Lipski, *KOR*, wstęp A. Friszke, oprac. G. Waligóra, Warszawa 2006, s. 256–260, 495–500.

² G. Waligóra, *Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela*, Warszawa 2006, s. 246–247.

³ Na temat sprawy Chojeckiego, Grzesiaka, Zadrożyńskiego i Kozłowskiego zob. szerzej: J.J. Lipski, *op. cit.*, s. 48–492; J. Błażejewska, *Potworne i niebezpieczne słowo – powielacz. Sprawa Mirosława Chojeckiego i Bogdana Grzesiaka*, „Biuletyn IPN” 2008, nr 12 (83), s. 57–65.

patriotycznej w Gdańsku, w rocznicę uchwalenia Konstytucji 3 Maja. Kolegium ds. Wykroczeń skazało Tadeusza Szczudłowskiego z ROPCiO oraz Dariusza Kobzdeja z RMP na trzy miesiące bezwzględnego aresztu⁴.

W proteście przeciw przetrzymywaniu w więzieniach działaczy opozycji, przedstawiciele KSS KOR, ROPCiO, RMP i SKS rozpoczęli 7 maja 1980 r. głódówkę w kościele św. Krzysztofa w Podkowie Leśnej. Była ona także przejawem solidarności z Chojeckim i Kobzdejem, którzy podjęli głódówkę protestacyjną w aresztach, oraz więzionymi za prawdę Białorusinami, Czechami, Litwinami, Słowakami i Ukraińcami. Rzecznikami głodujących zostali Jan Józef Lipski z KSS KOR i Kazimierz Janusz z ROPCiO. Głódówka zakończyła się 17 maja i łącznie wzięło w niej udział 28 osób. Przez cały czas w proteście uczestniczyli: Jarosław Broda, Leszek Budrewicz, Jerzy Godek, Aleksander Hall, Krystyna Iwaszkiewicz, Ryszard Krynicki, Jacek Kuroń, Renata Otolińska, Kazimierz Świtoń, Mariusz Wilk, Róża Woźniakowska, Do 14 maja głodowali: Seweryn Blumsztajn, Wiesław Kęcik, Sergiusz Kowalski, do 12 maja – Marian Gołębiowski i Tadeusz Zachara, do 11 maja – Jerzy Brykczyński. Od 8 maja do końca głódówki – Wiesław Parchimowicz, od 9 maja – Lesław Maleszka i Aleksandra Sarata, od 10 maja – Tomasz Burek, Jan Karandziej i Bronisław Wildstein, od 11 maja – ks. Tadeusz Stokowski i Mieczysław Majdzik, oraz od 13 maja – Ryszard Łagodziński, Tibor Pakh, Janusz Przewłocki.

Głodujący wydali 9 maja oświadczenie solidaryzujące się z wiernymi z Podkowy Leśnej, walczącymi o kaplicę w Otrębusach, a 14 maja skierowali list do przewodniczącego Rady Państwa z prośbą o ułaskawienie braci Kowalczyków, wystosowali też apel o obronę Bogdana Grzesiaka. Podczas trwania głódówki, 10 maja, zwolniono z więzienia Mirosława Chojeckiego, co powszechnie uznano za sukces protestujących⁵.

Prezentowane poniżej wspomnienia jednego z uczestników głódówki – Leszka Budrewicza, wówczas działacza SKS z Wrocławia – pokazują nowe, nieznanne dotąd szerszej wątki związane z przebiegiem protestu. Historia ta uzupełnia zarazem opublikowane w ubiegłym roku przez wrocławski oddział IPN wspomnienia Leszka Budrewicza⁶, gdzie kwestie te zostały pominięte.

GRZEGORZ WALIGÓRA

Podkowa – szczęśliwa nazwa dla głódówki

Od dłuższego już czasu była mowa o tym, że może być głódówka. Poprzednie dwie pozostały w środowisku dobre wspomnienia, choć oczywiście pierwsza – „radomska”⁷ odbyła się w innej, dla samych uczestników na pewno bardziej dramatycznej sytuacji, niż druga – „czeska”⁸. Można nawet powiedzieć, że miały one swoją „legendę”. Z jednej strony dramat, wysiłek, wyrzeczenie, z drugiej przebywanie przez 24 godziny na dobę w towarzystwie wybitnych, odważnych ludzi „różnych antykomunistycznych światopoglądów” było niezwykle doświadczeniem, a w przypadku pierwszej głódówki z 1977 r. pozostała ona w pamięci jako zwycięstwo, choć nieco odłożone w czasie.

W „czeskiej” wziął udział Mariusz Wilk z Wrocławia i wszyscy we wrocławskim SKS mu w jakimś sensie tego zazdrościli. Wśród tych, którzy przekroczyli już barierę strachu, częsta była postawa: skoro mają mnie zamknąć, czy ukatrupić, to niech chociaż jakieś będą z tego

⁴ G. Waligóra, *op. cit.*, s. 247.

⁵ Zob. szerzej: J.J. Lipski, *op. cit.*, s. 495–500.

⁶ L. Budrewicz, *Z PRL do Polski. Wspomnienia z niejednego podwórka 1976–1989*, oprac. M. Kała, G. Waligóra. Wrocław 2009.

⁷ Mowa o głódówce w kościele św. Marcina 24–31 V 1977.

⁸ Mowa o głódówce w kościele św. Krzyża 3–10 X 1979.

„przyjemności”. Pamiętam też, że kiedy Mariusz wyruszał na „czeską” głódówkę do Warszawy, nic nikomu nie powiedział, co sprzyjało powodzeniu, ale rozbijało niepisaną zasadę, że jednak w gronie zaufanych osób omawiamy niektóre sprawy. Nadchodząca głódówka, o której tu mowa, omawiana była już wcześniej, miała też być inna od poprzednich.

Pod naciskiem strajkujących drukarzy

W wersji, którą z Warszawy przywiózł chyba Mariusz, pamiętam to tak... Mirek Chojecki kupił „na lewo” w państwowej firmie powielacz, jak się zresztą okazało, jakiegoś „trupa”. To się zakończyło aresztowaniem i jego, i jednego z drukarzy, Bogdana Grzesiaka. W odczuciu drukarzy, KSS „KOR” początkowo nie dość intensywnie coś w tej sprawie robił, a cios był duży, bo Mirek kierował poligrafią, czyli główną na co dzień bronią ówczesnej opozycji. Drukarze więc zastrajkowali. Powiedzieć mieli Adamowi Michnikowi i Wiktorowi Woroszyłskiemu, że nie wydrukują najbliższego numeru „Zapisu”, jeśli nie zrobi się jakiejś bardziej zdecydowanej akcji w sprawie aresztowanych. Tu trzeba opisać, kim byli malowniczy, nawet na tle późniejszej „solidarnościowej” poligrafii, ówczesni podziemni drukarze (zresztą „korkowcy” ją w dużej mierze współtworzyli). Druk zajmował wiele godzin, a nawet dni i nocy, więc drukujący po prostu z tego żyli. Na taki margines ówczesnego życia codziennego najłatwiej decydowali się ludzie już i tak z jakichś powodów zmarginalizowani, albo tacy, których po politycznych wyrokach władza, w tym tak zwanym normalnym życiu, wcale nie chciała, albo byli hippisi, którzy do polskiej – gierkowskiej „trochę mniej małej” od gomułkowskiej – stabilizacji się nie garnęli. Prędzej czy później byli znani SB, więc „mecz” sprowadzał się do tego, czy służby zdołają „namierzyć” czas i miejsce druku.

W tym sensie był to pojedynek dwóch ekip fachowców, choć ta esbecka była o wiele liczniejsza. Mimo to wpadek było niewiele. Konwencja ówczesna przez długi czas przypominała układ niepisany między strażą ochrony przyrody a rybnymi kłusownikami. Gdy SB nakrywała drukarnię, zabierała sprzęt, w tym, niestety, prywatne często maszyny do pisania, znalezione nakład „bibuły”, papier, zatrzymywała na 48 godzin i przesłuchiwała drukarzy; nieprzyjemności mieli też lokatorzy czy właściciele mieszkania. Odstępstwa były rzadkie. Teraz właśnie przez aresztowanie Chojeckiego i Grzesiaka miało miejsce takie odstępstwo.

Mnie się wydawało, że wokół rozpropagowania takiej głódówki we Wrocławiu – naszymi ówczesnymi skromnymi środkami – będzie kupa roboty, więc się do udziału nie paliłem. Z tego powodu też myślałem, że wystarczy jak pojedzie od nas jedna osoba. Ale wśród tych, którzy się nie bali, chcieli jechać prawie wszyscy. Działała tu i chęć pomocy uwięzionym, i wspomniana już „legenda” poprzednich protestów głodowych. Jedno było jasne: uczestnicy mieli „prowadzić głódówkę”, a nie „głodować”, bo jak zauważył członek KSS „KOR”, były szef Kedywu Okręgu Warszawskiego AK, Józef Rybicki, „głodują” mieszkańcy „Trzeciego Świata”

Idea trzeciej głódówki była i taka, żeby podzielona opozycja, znajdująca się poza ruchem wydawniczym (a od jakiegoś czasu będąca także nieco „w martwym punkcie”), zrobiła coś razem, zwłaszcza że w więzieniu był nie tylko Chojecki i Grzesiak. „Korkowcy” (jak to określał Jacek Kuroń) i ROPCiO mieli więc razem prowadzić głódówkę na rzecz uwolnienia więźniów.

Działacze KSS „KOR” i ROPCiO mieli często wspólne wspomnienia z różnych okresów, ale nie łączyło ich w tamtej chwili żadne wspólne działanie. Pewnie i dlatego, że KOR koncentrował się na akcjach społecznych, samopomocowych i animacji społecznej samoorganizacji (nawet Antoni Macierewicz realizował wtedy hasło Kuronia: „nie palić partyjnych komitetów, tylko zakładać własne”). Tymczasem działacze ROPCiO odzegnawali się raczej od „poprawiania PRL”, organizowali nielegalne obchody patriotycznych rocznic, formułowali też – ale raczej na piśmie – cele znacznie wykraczające poza rzeczywistość Jałty i PRL.

Dziewczyna stawia do moralnego pionu

Kiedy moja ówczesna dziewczyna Danka Stołecka, zapytała mnie (pisaliśmy wszystko na kartkach, ze względu na domniemany podsłuch, który u Danki i u mnie – jak się po latach okazało – rzeczywiście był) czy wybieram się na głodówkę, zacząłem się wykręcać. Byłem przemęczony i, jak wielu z nas wtedy, chwilowo zniechęcony brakiem efektów działania. Po kilku, szybko zablokowanych przez SB, próbach podjęcia pracy w szkole (czteroletnie wtedy studia polonistyczne skończyłem, została jeszcze obrona pracy magisterskiej, ale SB zabierała mi każdy po kolei napisany fragment, który odbierał potem od niej, walczący o każdą kartkę promotor profesor Czesław Hernas) wstawałem na szóstą rano do przeładunku ciężarówek.

Tę pracę załatwiła mi moja matka, dogadawszy się z mężem znajomej, której – jak wielu osobom – prała rzeczy, dorabiając do skromnych zarobków. On był kierownikiem zakładu. Musiał wiedzieć, że pracownicy pili i wynosili towar. Jak tylko tam się zjawiłem, zaczęli mi wciskać przed fajrantem niemieckie i holenderskie masło, bo „kto wynosi, ten nie donosi”. Moje tłumaczenia, że nie mogę zaliczyć takiej wpadki, przyjmowali z niedowierzaniem. Podobnym niedowierzaniem zareagował na to, że się nie wybieram na 1 Maja – wynoszący ze wszystkimi towar – szef POP, ale dał mi w końcu spokój.

Wykręcałem się więc od tej głodówki, ale Danka czuwała, jak jakiś mickiewiczowski Wajdelota. Wprost mi mówiła-pisała że się pieszczę, że tu nie ma co deliberować, Mirek siedzi (jego akurat znaliśmy), ja jadę. I miała rację. Tak zrobiłem.

Ponieważ byliśmy wtedy, bardziej odważni niż pracownicy, wybierali się oprócz mnie: Jarrek Broda, Renata Otolińska i Mariusz Wilk – czyli polonistyka.

Gdzieś na przedmieściach, bladym świtem, pod jakimś lasem, kolega Danki (nie pamiętam, jak do tego miejsca dotarliśmy) Zbyszek Gieruń odebrał kluczyki od kogoś, kogo już gdzieś spotkałem, ale nie wiedziałem wtedy, że facetem, który daje „Byniowi” kluczyki od fiata 125p w jakimś mało agresywnym kolorze, jest Kornel Morawiecki (Kornel redagował wtedy drugoobiegowy „Biuletyn Dolnośląski”). Z podróży pamiętam tylko żarty na temat ewentualnej „ubeckości” wyprzedzających nas aut i jakąś klótnię totalną, nie wiem już dziś o co.

Nie umiem powiedzieć, czy wiedzieliśmy, że Mirek zaczął w więzieniu głodówkę i nie wiem, czy było to wszystko jakoś z nim koordynowane. Nie pamiętam też, czyśmy coś po drodze jedli, ale na pewno do Podkowy Leśnej, gdzie miała być głodówka, dojechaliśmy przed południem na zupełnego głodniaka.

To ja najbardziej optowałem za tym, żeby jechać prosto do Podkowy i prosto do kościoła, i już się stamtąd nie ruszać. I absolutnie nie defilować przez, na pewno obstawione, warszawskie mieszkania. Kościół św. Krzysztofa w Podkowie Leśnej otoczony był wtedy – jak pamiętam – czymś w rodzaju skwerku czy ogrodu, oddzielonego od reszty terenu niskim kamiennym murkiem. Podjeżdżamy pod sam mur, wysiadamy, „Bynio” odjeżdża. Na plebanii nikogo, kościół otwarty. Zgłosić się mieliśmy do kościoła. Jesteśmy i co dalej? Wchodzimy z Renatą do kościoła, reszta chyba siedzi w poczekalni na plebanii. W kościele, mimo wczesnej pory, kilka osób. Klękamy obok faceta przy samym ołtarzu (Renata wierząca, ja nie). Ten instynktownie, jakby z obawą, odsuwa się, No, ale na esbeków to myśmy z Renatą wtedy raczej nie wyglądali. W ten sposób poznaliśmy Kazimierza Świtonia, który na klęczkach przed ołtarzem czekał na rozpoczęcie głodówki. Było to tyle wtedy fajne spotkanie, że byliśmy jednym z tych SKS, które zebrały najwięcej podpisów pod petycją o jego uwolnienie. No i osaczonego wcześniej i samotnego na Górnym Śląsku Świtonia uwolnili.

Niedługo potem zjawił się ksiądz. Nie był to proboszcz, ksiądz Leon Kantorski, do którego mieliśmy się zgłosić, tylko wikary. Sprowadził nas do małej salki z tyłu kościoła, powiedział,

żeby czekać. Chyba też razem ze Świtoniem. Pamiętam, że był tam jakiś klawiszowy instrument i krzesła. Tam spędziliśmy całą resztę dnia. To, że o tak zwanym suchym pysku, to nic. Ale bez dostępu do toalety. Mariusz nawet wyszedł na zewnątrz i zbadał okolicę, ale nikogo nie było i nikt się nami nie interesował. Ja nie wychodziłem, bo myślałem sobie, że jak wyjdziemy na otwarty teren, to nas zwiną i tyle będzie naszego udziału w głodówce. Siedziałem więc z pękającym pęcherzem. Wieczorem, ok. 19 zwała się reszta, przeważnie z Warszawy. Pamiętam, że pierwszy przyszedł Wiesiek Kęcik. Otwarte zostały drzwi od reszty pomieszczeń, wreszcie siku.

No i o godzinie, która w wydanym zaraz potem oświadczeniu była godziną rozpoczęcia głodówki, zjedliśmy wreszcie coś. To znaczy my z Wrocławia i chyba też Świłoń. Podpisaliśmy oświadczenie, zbadał nas lekarz i ... naprzód!

Jeszcze tego dnia, albo nazajutrz, było zebranie w małej okrągłej sali konferencyjnej. Powiedzieli coś rzecznicy głodówki, Jan Józef Lipski z KOR i Kazimierz Janusz z ROPCiO, każdy z uczestników się przedstawił i... ruszyliśmy w podróż o chlebie i wodzie. Było też fajnie pogadać ze znajomymi, ale też poznać ludzi znanych poprzednio tylko z komunikatów o aresztowaniach albo w ogóle dotąd nieznanym.

Każdy organizm na próbę niejedzenia reaguje po swojemu. Przed rozpoczęciem głodówki za bardzo nie było czasu o tym myśleć. Ale wizja, tygodniowego początkowo postu, była przecież dość niecodzienna. Reakcje były różne. Mnie pierwszej i drugiej nocy śniły się koszmary i strasznie bolała mnie głowa. Potem to minęło. Po dwóch-trzech dniach zanika łaknienie, tęskni się za smakami, więc jak tylko do głodówki dołączył Broniek Wildstein, to zaczęliśmy (niestety też z Maleszką⁹) opowiadać sobie o najbardziej wymyślnych potrawach – tęskni się raczej za smakami. Człowiek uzyskuje poczucie lekkości. Po kilku dniach przychodzi znużenie; wolimy, żeby szklankę wody ktoś nam podał; śpi się coraz więcej, z ust pachnie coraz fatalniej.

Jeden z lekarzy już wtedy przestrzegał, że najdłużej będziemy potem przyzwyczajając organizm do mleka. Ktoś z uczestników głodówki wyczytał gdzieś, że w czasie głodówki komórki ciała ludzkiego wracają do stanu z czasu, gdy człowiek miał siedem lat, wyrzucając wszystkie nieczystości, że poprawia się cera, ale że też efekt „jojo” zachodzi błyskawicznie.

Na pewno pomyśl z jednego z pierwszych dni, żeby pomalować proboszczowi dzwonicę, był poroniony: Ktoś rozsądny stwierdził, że po kilku dniach głodówki nie będziemy mieli siły pomalować nic. Propozycja wyszła od Krystyny Iwaszkiewicz i Tadeusza Zachary, których na głodówkę „przyprowadziło” ROPCiO. Zachara potem szybko się wycofał z głodówki, podając jakieś nie do końca poważne powody.

Szybko wszedł w życie niepisany porządek dnia: „posiłki”, czyli gotowana woda, najlepiej ciepła, czasem mineralna, przy czym gazowana traktowana była już jako używka. Kolejne dojeżdżające osoby były formalnie przyjmowane, prawie codziennie odbywały się jakieś spotkania dyskusyjne, dwa razy dziennie chodziliśmy na Mszę. Jedyńm, który się z tego wyłamywał, mimo dużej presji ze strony Kuronia, był ówczesny anarchista – Broniek Wildstein. Jacek uważał, że jesteśmy to winni proboszczowi, a poza tym samej głodówce i uwięzionym. Siedzieliśmy więc przy ołtarzu, odgradzeni barierką. A ludzie mogli nas zobaczyć, a nawet, zwłaszcza podczas liczniejszych Mszy wieczornych lub w niedzielę, podchodzili, żeby przekazać nam znak pokoju.

Byli też goście: o ile znany wcześniej z TV aktor Maciej Rayzacher po prostu przemknął (był już wtedy działaczem wspomagającym Wieśka Kęcika przy tworzeniu ruchu chłopskiego), o tyle

⁹ Wieloletni tajny współpracownik SB. Jako TW „Ketman”, „Return”, „Tomek” dostarczał SB wiele cennych informacji i analiz, zob. H. Głębocki, E. Zajac *Ketman i Monika – żywoty równoległe*, „Aparat Represji w Polsce Ludowej 1944–1989”, 2005, nr 1, s. 73–363.

na przykład spotkanie z twórcą oaz ks. Franciszkiem Blachnickim było wielkim, interesującym przeżyciem, zwłaszcza dla mnie, dla którego praktykowanie zakończyło się, gdy miałem siedemnaście lat; wcześniej byłem wprawdzie u Pierwszej Komunii, ale na bierzmowaniu już nie.

To zresztą przyniosło nie do końca dla mnie śmieszny incydent. Bodaj Jacka pomysłem było, żebyśmy pisali na kolejne Msze modlitwę wiernych. Podobnie jak w przypadku jednego z oświadczeń, najpierw nikt nie chciał tego robić, potem wszyscy stwierdzili, że najlepiej to zrobią takie osoby jak ja: „polonistyczne” i do tego piszące czynnie. Tak ustalili i się rozeszli do swoich czynności (wszyscy lubili przed południem wygrzewać się w słońcu na leżakach, z tyłu kościoła, choć z dnia na dzień było nam coraz zimniej i musieliśmy się opatulać śpiworami i kocami). Jak napisałem próbkę oświadczenia, to wszyscy, co wrócili z leżaków, nie zostawili na nim suchej nitki. Byłem wściekły i chyba nawet odmówiłem takich prac. Jeszcze lepiej, czy też gorzej, było z modlitwą wiernych. Też nikt nie chciał się do tego zabrać, a trzeba było to robić codziennie. Jak modlitwę układałem ja, Jacek kpił nawet: „Kto dzisiaj pisze modlitwę? Aaa, Budrewicz.. To będzie za tych, co idą do przodu i za tych, co się cofają do tyłu...”. Od razu było widać, że byłem po świeżej lekturze Gandhiego.

No i stało się: w dniu, w którym do głódówki dołączył się weteran powstania węgierskiego z 1956 r., Tibor Pakh, wprowadziłem do modlitwy coś o tym, że modlimy się za św. Stefana, patrona Węgier. Po Mszy jeden przez drugiego zaczęli mi mówić, że nie modlimy się za świętych, bo oni się za nas modlą, i co to w ogóle było? Tu się już wściekłem nie na żarty i powiedziałem, żeby bardziej zorientowani to pisali, zamiast sączyć wodę z kubków na leżakach, jak w jakimś uzdrowisku.

Pomogli Bujak i Janas

Naturalnym przedłużeniem kontaktu z wiernymi parafii podczas Mszy było to, że (nie pamiętam z czyjej inicjatywy) parafianie podpisywali list popierający uczestników głódówki. Szło to początkowo marnie. Do czasu, kiedy na zapleczu kościoła, na przeciw plebanii, do stolika z podpisami ustawiło się dwóch młodych robotników z Ursusa, którzy przyszli z całymi rodzinami. To ludzi ośmieliło i już właściwie codziennie po Mszy na tym zapleczu odbywał się taki piknik – bez kalorii i tańców – z udziałem uczestników głódówki, odwiedzających ich rodzin i znajomych, księży z Podkowy, parafian, młodzieży z duszpasterstw, ciekawskich. Czasem – dyskretnie lub bardziej ostentacyjnie – pojawiała się też SB. Facetami, którzy rozruszali atmosferę wokół podpisów, byli mało jeszcze wtedy komukolwiek znani, późniejsi czołowi działacze NSZZ „Solidarność” Zbigniew Bujak i Zbigniew Janas. Nie pamiętam, jak w moim zasięgu znalazła się moja gitara. W każdym razie kiedyś wieczorem odwaliliśmy taki koncert, że przyszedł ktoś od księdza Kantorskiego do naszych „lochów” z pytaniem, co się stało, bo słyszy straszne krzyki.

Był to już czas małych przenośnych telewizorów. Wokół postawienia (w drodze wyjątku) na półtorej godziny takiego telewizora odbyło się nawet głosowanie. Nad brakiem TV nikt nie ubolewał, radio do słuchania „Wolnej Europy” stało chyba w małej kuchni między sypialnią (spaliśmy na materacach i w śpiworach na podłodze), a tą okrągłą salą konferencyjną, o której wspominałem. Wprowadzenie telewizora rozbiłoby zresztą wiele powstałych od razu rytuałów – jednym z głównych było „geganie”, czyli dzielenie włosa na czworo w dziennych i nocnych Polaków rozmowach. Ale raz rządowa telewizja wkroczyła w naszą „Rzeczpospolitą Chwilową”. Pamiętam to tak: siedzimy w sali konferencyjnej w kucki na ziemi wokół małego telewizorka, krzyczymy, łapiemy się za głowę, nie wiem, czy ktoś nawet nie przeklął: tak oglądaliśmy mecz piłkarski RFN – Polska. Odbywał się w Niemczech, znowu przegraliśmy, tym razem 3:1, ale bramki Bońka z wolnego (chyba przy stanie 2:0 dla Niemców) długo nie można było zapomnieć.

Rozmowy prowadziły nas w różne strony. Raz wymyśliśmy z Bronkiem i Maleszką taki scenariusz, że jest jakaś głodówka o uwolnienie więźniów. Najpierw wzbudza ona zainteresowanie, potem kraj i świat zajmują się czymś innym, dyktator wypuszcza część więźniów, o pozostałych prowadzi się głodówkę „do śmierci”, ale to już nikogo nie obchodzi. Jak to opowiedzieliśmy Jackowi Kuroniowi jako taką makabrę trochę z Rolanda Topora, to obruszył się, że na pewno by tak nie było, bo ludzie mają sumienia i nigdy by o takich prowadzących głodówkę nie zapomnieli.

Stocznowiec z listem od Gwiazdy i pokonanie Kuronia

Przybywający kolejno na głodówkę w trakcie jej trwania, byli przyjmowani w ogólnym głosowaniu, ktoś ich oczywiście zawsze rekomendował. Spawacz ze Stoczni Północnej w Gdańsku Jan Karandziej przyjechał z listem polecającym od Andrzeja Gwiazdy. Był jeden bardzo – tak go pamiętam – otyły pan, który nie został przyjęty, bo Jacek znał go wcześniej jako świra. Bardzo chciał, więc został „nakarmiony” dobrym słowem i życzliwością, ale nie został uczestnikiem głodówki.

Ciekawy był przyjazd Tibora Pakha. O głodówce usłyszał w „Wolnej Europie”. To był strasznie gnębiony na Węgrzech (więzienie, psychiatryk) uczestnik powstania w Budapeszcie w 1956 r. Był siwym, szczupłym, skromnie, ale z gustem ubranym starszym panem, przypominał trochę byłego trenera polskich lekkoatletów, Jana Mulaka. Mało kto coś o nim wiedział, ale jak Jacek usłyszał, że w czasie II wojny światowej Pakh był oficerem, to się wściekł i powiedział, że po jego trupie. Że nie będzie prowadził głodówki razem z faszystą. Jacek zawsze prawie potrafił wszystkich do wszystkiego przekonać, nie tak, to siak, nie teraz, to potem. Potrafił też przyznać się do błędów. Nie było to częste, bo nie popełniał ich często. Ale w sprawie Pakha po raz pierwszy zobaczyłem, jak został spacyfikowany. Wszyscy byli przeciw niemu. Pamiętam jak Róża Woźniakowska tłumaczyła mu cierpliwie, że Pakh był oficerem rezerwy powołanym do wojska i nie popełnił na pewno zbrodni wojennych. Jacek bał się, że go rządowa propaganda „ożeni” z sojusznikiem Hitlera, ale ja na przykład miałem z tyłu głowy, że jak Ozjasz Szechter mógł brać udział w jednej z poprzednich głodówek, to co komu szkodzi starszy pan z Węgier? Wydaje mi się, że nikt nie użył tego argumentu, ale i tak Kuroń został przegłosowany i Tibor Pakh, jak się potem okazało absolutnie słusznie, dołączył do głodówki.

Jacek Kuroń uczy mnie ścierać podłogę

Czytaliśmy dużo w trakcie głodówki, a kiedy wszyscy szli spać (co z dnia na dzień następowało coraz wcześniej i trwało coraz dłużej) siedziałem w malutkiej kuchni, przeważnie z Jackiem i do późna coś – każdy swoje – „dłubaliśmy umysłowo”, od czasu do czasu trochę rozmawiając. Tam to właśnie Jacek skrytykował mój sposób ścierania podłogi, o którym miałem, jako syn sprzątaczk, dobre zdanie i pokazał mi, że podłogę ściera się rozłożoną szmatą, stopniowo składając ją jak kopertę. Tam też nagrałem „Rozmowy na czczo” z Sewkiem Blumsztajnem, Tomkiem Burkiem, Ryśkiem Krynickim, też z samym Kuroniem. Miała być z tego książka, ale potem szybko była obrona pracy magisterskiej, wojsko, „Solidarność” – czyli inne rzeczy – więc nie została nigdy dokończona.

Nie pamiętam już, którego dnia głodówki przyszła wiadomość (wydaje mi się, że było przed upływem planowanego wstępnie tygodnia), że Mirek został wypuszczony. On nawet zjawił się w Podkowie. Zaczęła się wielka dyskusja, czy kończyć. Najgoręcej przekonywał do takiego „skwitowania” uwolnienia Mirka Adam Michnik. Ale tu z kolei z nim nie zgadzał się nie tylko Jacek i nie tylko ludzie z ROPCiO. Był to spektakularny sukces i dla niektórych z nas główny

cel głódówki został zrealizowany. Ale raczej mieli ci, którzy uważali, że trzeba to pociągnąć dalej. Nie tylko przez lojalność wobec nadal więzionych, nie tylko dlatego, że w czasie głódówki zwolniono kolejnych więzionych, ale dlatego, że sama głódówka stała się wydarzeniem nie tylko w Podkowie, a Wiesiek Kęcik mówił, że przychodzą do niego ludzie, którzy wycofali się z działalności opozycyjnej straciwszy ducha i poczucie sensu, a teraz chcą znowu coś zrobić. Bez żadnej przesady można powiedzieć, że do kościoła i na spotkania z uczestnikami głódówki zaczęły przychodzić tłumy. Stało więc na tym, że głódówka będzie prowadzona nadal. Część uczestników głódówki dostała zaproszenia do parafian „na po” w gości.

Bardzo odważny w swoich kazaniach ks. Leon Kantorski miał wielki mir w parafii. Bartoszewicz opowiadała, że w zastępstwie księdza prowadził kiedyś katechezę i był zaskoczony, że dla współczesnego Kościoła wiara jest ważniejsza od dobrych uczynków. Z kolei Jacek Kuroń, mówiąc z wielką sympatią o księdzu, określił go jako człowieka, który groźny jest z pozoru, a dzieciaki mu po głowie łązą jak chcą. Zapamiętałem go jako człowieka ciepłego, kiedy trzeba ostrego. I fajnie było poznać księdza, który znany był wcześniej głównie z tego, że u niego w kościele Czerwono-Czarni nagrali Mszę beatową *Pan przyjacielem moim*.

To, co na dobre zostało

Teraz chcę jeszcze ocalić od mojego zapomnienia różne obrazki.

Wiesław Parchimowicz spaceruje wokół kościoła i rozmawia z Marianem Gołębiowskim. Pan Bryczyński podwija nogawkę za krótkich spodni, takich przedwojennych w kroju, peerelowskich w wykonaniu. Janek Karandziej siedzi spokojnie i odpowiada po jednym słowie na każde pytanie. Ksiądz Stokowski opowiada o znaczeniu słowa „reszta” w Piśmie Świętym. Jacek Kuroń mówi do kilku osób, że ksiądz jest przysłany z Sosnowca przez Episkopat na zwiady. Sewek Blumsztajn i inni „korkowcy” narzekają – w wykładzie o „reszcie” ksiądz opowiada banały. A mnie to wkurza, bo ksiądz, choć nie zawodowy biblista, dzieli się wrażeniem i robi to ciekawie. Przyjeżdża Mieczysław Majdzik, znają go bodaj z „Robotnika”. Potem opowiadano mi, że Majdzik, jak Norma Rae na amerykańskim filmie, jako jedyny odmówił pracy w swoim zakładzie i potem porwał za sobą innych. No i po latach powiedział coś głupio antysemickiego.

I jeszcze obraz najważniejszy.

Jest koniec głódówki. Przy biciu w dzwony wychodzimy z kościoła. Ludzie ściskają nam dłonie, przed kościołem czeka Mirek i dziękuje każdemu. Wcześniej ksiądz przypomina nazwiska wszystkich uwolnionych i tych, którzy nadal siedzą. Pierwszy raz widzę (tak później wszechobecny gest) uniesione palce z V. Wsiadamy do aut, jak jacyś zwycięzcy wyścigu kolarskiego. I po chwili, jadąc ulicami, wracamy do realnego świata. Jadę do Kęcików, najpierw mała łyżka kaszki na wodzie i niemal „kosmiczny” w tamtych czasach – banan. Natychmiast niemal łapię przeziębienie, ale jem w następnych dniach po 5–6 posiłków

Jeszcze dwa epilogi.

Kiedy Jarek Broda wrócił do domu, ojciec, dawny akowiec, spytał jak było, a potem – o co była ta głódówka. Posłuchał, a potem stwierdził: Eeee, tam. Co to za głódówka! U nas przed wojną na uniwersytecie – to była głódówka. Zamknęliśmy się w akademiku, a jak przyjechała granatowa policja, tośmy ją obrzucili kamieniami. A o co była ta wasza głódówka? – spytał zaintrygowany Jacek. Jak to o co – miał oburzyć się ojciec – żeby Żydów wyrzucić z Uniwersytetu!

Dzięki mężowi znajomej mojej mamy, to, że zniknąłem z dnia na dzień z pracy, nie zakończyło się dyscyplinarką, tylko normalnym rozwiązaniem umowy. Pożegnaliśmy się z panem kierownikiem, zszedłem z rampy, wyszedłem za bramę i znowu musiałem sobie zadać pytanie: no i co teraz?